TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 32. *Chicago, Ills., 3 Lutego, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Jak tylko ślub wzięli, on i mąż mój pochwycili w ręce wszystko, poczęły się piekielne rządy. Kobieta postrzegła rychło, że w zastawione sidła padła, nie było wszakże ratunku, tylko już w opiece Bożej, i pociechy tylko w dziecięciu. Do dziecka tego przywiązaną była nadzwyczajnie, a przez to samo ojczym je nienawidził; wypłakiwałam oczy, patrząc co się we dworze działo z tą biedną panią, choć tam niby dla oczów ludzkich z wielką około niej chodzili rewerencyą...

Żyła jeszcze naówczas staruszka matka Podskarbicowej, a naraz jakoś w drugim roku po ślubie, gdy chłopaczek czwarty rok miał i dostał był jakiejś choroby dziecinnej, że się z domu ruszać nie mógł, bo czas był chłodny, dano znać pani, że matka umiera i wzywa jej do siebie. Musiała się w godzinę potem wybrać i jechać, rzucając dziecko, którego doktór nadworny brać nie dozwolił... Jakby biedaczka przeczuwała to, że go już nie zobaczy więcej, tak na wyjezdnem ściskając je płakała i rozstać się z niem nie mając sił, po kilkakroć do niego wracała...

Pan Bóg niech sądzi, co się naówczas stało — rzekła głos zniżając pani Brzeska do coraz bardziej przerażonego kanonika... nie chcę się nawet domyślać... Trzeciego dnia rozgłosili we dworze, iż panicz umarł, i tak się zwinęli z pogrzebem, że nazajutrz rano sam pan, mój mąż i doktor trumienkę na cmentarz wywieźli i pochowali.

Ks. Kanonik zerwał się z krzesła z załamanemi rękami. — Tekluniu! na rany Pańskie.

czyż to może być... co oni zrobili! To kryminał — twój mąż...

— O! bracie kochany, wciąż po cichu szeptała płacząc siostra — ja nie wiem nic, ale co wiem, to ci opowiem, jak na spowiedzi. Co się z dzieckiem stało, Bóg jeden wie... to pewna, że nie tak było, jak mówili. Zaraz po wyjeździe pani, gdy jeszcze synaczek żył i nic mu nie groziło, zaczęły się między moim mężem a Podskarbicem jakieś konszachty, latanina, umawianie... po dniach i po nocach... Mąż powracał do domu jakby przerażony, latał po izbie, mruczał, ręce łamał, gadał w nocy sam do siebie, szedł, wracał, jakby z sumieniem się borykał. W nocy słyszałam, jak przyniósł pieniędzy trzos spory i rzucił go do skrzyni... potem wysłał mnie do Krakowa nagle pod jakimś pozorem, jakby się świadka niepotrzebnego chciał pozbyć. Gdym powróciła, nie zastałam go, dowiedziałam się, że synaczek umarł, a męża gdzieś wysłano — dokąd? nie wiadomo, kilka dni go nie było widać... Gdy powrócił, tom go ledwie poznała, tak był blady, tak strasznie wzruszony, i od tej godziny mogę powiedzieć zaczęła się męka moja przez niego, bo się stał nieznośnym, nielitościwym, jakby mu sumienie spokoju nie dawało. Nie godzi się posądzać, ale przebacz Panie — on, jeżeli tam co dziecku uczyniono, coś o tem wiedzieć i pomagać do tego musiał...

Cóż to się w domu działo, gdy dowiedziawszy się na pogrzebie matki o śmierci dziecka, wróciła Podskarbicowa... do pustej kolebki. Myśleliśmy, że oszaleje lub umrze. Ledwie ją doktorowie z Krakowa wezwani uratowali... a długi czas chodziła jak obłąkana. Do dziś dnia jeszcze w pokoju nieboszczyka panicza stoi wszystko, jak było... Zrobiła sobie z niego kapliczkę i tam się modli. Podskarbic, trzeba to przyznać, bardzo był dla niej dobry i troskliwy o zdrowie i czuły, jednakże go od tej pory znosić nie mogła i nie może. Temu już lat jest dziewięć, boleść ową straszną czas przemógł, żyją z sobą, przecież gdyby obcy... ona cała w modlitwie i we łzach, on po ucztach, biesiadach i po paniach duszkach... latając... Najgorsza to, że mojego męża oplątawszy raz, uczynił go i rządcą i komisarzem i powiernikiem, polepszył mu prawda los, dał mu się spaść groszem, a szczęście i spokój na wieki odebrał... Od śmierci dziecka co ludzie na Poskarbica i na mojego męża gadają, jakie wieści chodzą... nie chcę powtarzać, mój bracie... Śmierć dziecka czy też zatracenie jego przypisują im... Podskarbicowi może nic to nie szkodzi, bo bogaty i skoligacony, ma przyjaciół i obrońców, a mojego Brzeskiego ludzie prawie jako kata się strzegą i boją. Człek też się zmienił, zgorzkniał, popsuł... nieszczęśliwy on, nieszczęśliwsza ja... Zapłakała kobieta, kanonik siedział jak osłupiały.

— Podskarbicowi chciało się potomka i spodziewał się go, a może i ona też pragnęła, ale Bóg nie dał ani im, ani nam. Ludzie ztąd wnoszą, że to kara za utajoną zbrodnię...

Ks. Hodowski wstał wreszcie trzęsąc rękami i swoją biedną przekrzywioną głową...

— Ale ci się śni, biedna kobieto! — zawołał — żeś nieszczęśliwa, nie przeczę że człowiek nie dobry, nie miły, kwaśny jakiś, tom ja dawno czuł i wiedział, lecz żeby znowu rzeczy tak zaszły daleko, aż do kryminału... nie wierzę. Ludzie plotą, ty jesteś łatwowierna, serce, które boli, roi rzeczy dziwne... Dziecko z choroby zmarło... mąż twój chciwy w zarządzie majątku może tam co korzysta z tego, że się panu wysługiwał... ale... Nie! nie! — zawołał Hodowski — u nas, dzięki Bogu, podobne historye się nie dzieją... nie wierzę... nie wierzę.

Brzeska zamilkła ocierając łzy. — Mój bracie kochany — odezwała się po chwili — nie chcę ci powtarzać, co po śmierci dziecka powoli przez lata na wierzch wychodziło... Ludzie powiadają, iż dziecko jako żywo nie umarło, że je porwano i gdzieś wywieziono. A to prawie pewna, iż mąż mój został nagle z czemś w nocy wysłany i że gdy odjeżdżał sam się powożąc, ludzie płacz dziecięcy słyszeli.. Mówią też, iż w trumience ciała nie było, tylko w szmaty poobwijane kamienie, które się, gdy ją niesiono, kołatały... A co najstraszniejsza rzecz... ach! — zaczęła płakać kobieta — nie mówmy o tem.

— Dajbo pokój, nie mówmy lepiej — przerwał kanonik — ja w to nie wierzę; znam ludzi i ludzkie języki... Stworzą z niczego, a jak zaczną powtarzać, dodawać, paplać... tak najniewinniejszego oczernią...

Na tem się skończyła rozmowa, a Maciejowa też z pomocą Janka do stołu nakrywać zaczęła, obiad milcząco przeszedł i smutnie; ka-

nonik starał się na co innego sprowadzić rozmowę, siostra jego wzdychała. Po obiedzie ze łzami znowu skarzyła się na pożycie z mężem... Ks. Hodowski jednak nie dopuścił jej o tem wiele mówić, bo mu się w głowie pomieścić nie mogło, aby to wszystko prawdą być miało.

— Moja Tekluniu — rzekł w końcu — życie ludzkie nie jest rozkoszą, jest próbą i obowiązkiem... Znosić je trzeba. Żyłaś z tym człowiekiem długie lata, święcie wycierpiałaś, co ci Bóg zesłał... dotrwajże cierpliwie do końca... a ludziom złym ucha nie dawaj i lada jakim baśniom nie wierz. Plotki rosną, jak na drożdżach... a w imaginacyi pęcznieją jeszcze... więc znakiem krzyża świętego odpędzić złe myśli i w modlitwie szukać pociechy.

Od tego dnia urodzin ks. kanonika dobrze rok upłynął... następnej rocznicy nie obchodzono, bo pani Brzeska tygodniem wprzódy oznajmiła, że chora leży i przybyć nie może... Maciejowa zwykle kłopocąca się tym obiadem, teraz gderała bardzo, iż nawet urodzin już nie było. Kanonik mszą, do której mu Janek służył, odprawił i do swoich książek i krupniku powszedniego powrócił. W ciągu roku między nauczycielem a uczniem zawiązał się stosunek prawdziwie ojcowski... z żadnego ks. Hodowski takiej pociechy nie miał. Chłopak był żywy, pracowity, roztropny, trochę butny, ale serca dobrego, czasem, się uniósł, ale zaraz tego pożałował. Uczył się doskonale, może nazbyt wyprzedzając domysłami to, czego mu jeszcze nie powiedziano; najmniejszej skazówki dość mu było, ażeby jak mówił klecha, świdrował zaraz po szlaku idąc dalej a dalej. Gdy wpół zadania już rozwiązanie naprzód odgadywał, kanonik się śmiał i po głowie go klepał... nie mogąc się dość nim nacieszyć. Maciejowa nie dopuszczając go psuć księdzu, sama pieściła jak dziecko własne. Co parę tygodni przybywała też Hruzdzina zobaczyć wychowańca i i przynieść mu jaki przysmaczek. Opływał więc we wszystko i już miał przygotowany dobrze przez samego kanonika do szkoły zacząć chodzić, gdy w kilka tygodni po cichych urodzinach owych, ks. Hodowski zasłabł, co mu się nigdy nie trafiało. Życie prowadził nadzwyczaj regularne, spokojne, i można powiedzieć, że jednem z pierwszych doznanych strapień była wiadomość o nieszczęśliwym siostry losie, którym się gryzł nie mało. Słabowity, cherlający, ks. profesor najregularniej przecie chodził na lekcye, na nabożeństwo, nie pieścił się wcale, i skrzypiąc tak trzymał się jednakowy ciągle, że na nim nawet prawie lat śladu nie widać było. Jednego ranka wszakże mając wstać o zwykłej godzinie, poczuł się osłabłym bardzo, pobróbował na gwałt ściągnąć się z łóżka i upadł. Dostał zawrotu głowy, posłano po doktora... Starszy Fiszer fizyk, jak wówczas nazywano, pomacawszy pulsu, zawyrokował, że krew koniecznie puścić było potrzeba. Puszczono więc obficie, nie zważając na podeszły wiek chorego, nakazano spoczynek, ziółka i mixturę, którą Janek siadłszy u łóżka miał dawać co pół godziny. Skutkowała ona to prawda, ale osłabiając i tak już osłabionego staruszka, który drugiego dnia drzemać sobie począł, i choć przytomny, sennym był ciągle; Fiszer zawyrokował, że się choroba przesiliła, że chory snem odzyska siły, i bardzo był z siebie rad; kanonik wszakże trzeciego dnia sam zrozumiał, że mu nie wiele do końca pozostało... Siłą woli odzyskał cokolwiek przytomności, zakłopotał się o sierotę, pół słowem Janka Opatrzności polecił, Maciejowej coś nie zrozumiale zadysponował... zasnął potem znowu i już się biedny nie przebudził. Doktor Fiszer nadszedłszy z rana, gdy nikt jeszcze śmierci się nie domyślał, pierwszy ją oznajmił i oświadczył, że zaszła prawidłowie, gdyż staruszek wyczerpał się pracą, siedzeniem i nieposilnem jadłem. Dodał, iż gdyby był krwi nie puścił i mixtury nie dał, byłoby jeszcze za daleko gorzej. W jednej chwili wieść ta, która Janka osłupiła, poruszyła całą ulicę i rozeszła się po mieście. Znalazły się władze, reprezentant akademii, ktoś posłał zaraz dać znać siostrze... Opieczętowano pokoje... Maciejowa ryczała z płaczu zabierając węzełki swe i nie wiedząc dobrze, co z sobą ma zrobić; Janek też wygnany prawie, znalazł się w ulicy, nie myśląc jeszcze, co z sobą pocznie, a bolejąc tylko nad stratą człowieka, który dlań był czułym opiekunem i ojcem.... Na dole mieszkający szewc, ubogi człeczyna, który znał dobrze Janka i bardzo go lubił, dał mu chwilowy przytułek u siebie.... Chłopak siedział przybity, gdy wkrótce potem siostra zmarłego i mąż jej kulawy nadjechali. Ale pierwsza dla płaczu nie zajmowała się niczem oprócz swego żalu i nieboszczyka, drugi

zaś obejmował co najrychlej nieruchomości, a szukał sum ukrytych, mając najmocniejsze przekonanie, iż ks. Hodowski zbierał kapitały i tylko się z niemi nie wydawał.

Pogrzeb odbył się ze zwykłą pompą akademicką, bo teraz, gdy suchego, małego człowieka, który nieraz swym rozumem i nauką dokuczył wielu, nie stało, wszyscy go żałowali, ubolewali nad stratą, jaką alma mater poniosła, i sławili znakomite zasługi uczonego. Nikomu już nie zawadzał. Brzeski ledwie z ceremonii tej powróciwszy jął się papierów i pozostałości po nieboszczyku, przewracając dom do góry nogami. Testamentu wszakże ani pieniędzy, wyjąwszy pięciu talarów i dwóch oberzniętych dukatów, nie znaleziono. Brzeski chciał gospodynią dać więzić i wziąć na męki, ażeby wyznała, co się stało z pieniędzmi; jąć się miał i chłopca, pozywając go na świadectwo, koniec końcem jednak siostra nie dopuściła do tych ostateczności. Maciejowa poszła wolno, a Janek musiał dopiero myśleć, co dalej robić.

Nie małem to zadaniem było znaleźć sobie przytułek i chleb, o którym by dalej uczyć się można. Szewc wprawdzie chętnie poczciwego chłopca przyjąć się ofiarował, lecz wymagał, aby do szlachetnego kunsztu się przykładał, co jakoś Jankowi nie smakowało.

— Bo to ty jakoś ludzi słuchasz i wymysłów ich niezdarnych, co na tych nieszczęśliwych szewców niesłychane rzeczy komponowali! Niech sobie się naśmiewają z dratwy i z szydła.... a gdyby nie my, toby wszyscy w postołach chodzili lub nogi darli.... Królowie nawet bez szewców się nie obywają. Rzemiosło sławne... z głodu człek nie umrze, póki ludzie nogi mają.....

Wszystko to nie przekonało Janka, który odpowiadał, że uczyć się pragnął... Ot, z pozwoleniem głupiec—odparł stary szewc...gdybym był ojcem twoim, tobyś za to pociągaczem dostał. Po co się tobie uczyć? co tobie po nauce? Dosyć tego rozumu, gdy kto w książce od nabożeństwa czytać umie, a nazwisko podpisać, reszta to tylko próżność djabelska, mosanie, i zepsucie.... po co? do zbawienia rozum nie potrzebny... a fanaberye stroi... ale rób sobie co chcesz.... abyś no tylko z rozumem w głowie bez butów nie chodził, ty, co ich robić nie chcesz...

Choć czując się mocno obrażonym tem, że chłopak szewcem być nie chciał, majster pozwolił mu u siebie dzień przebyć, póki by sobie przytułku nie znalazł. Gdzie go tu było szukać?? Janek nie znał prawie nikogo... kilku chłopców tylko rzemieślników, co do kanonika chodzili. Z tych żaden zamożniejszym nad niego nie był... Jeden chodził z garnuszkiem od drzwi do drzwi żebrząc łyżki strawy, którą mu mieszczanie dawali; drugi za chłopca służył przy majętniejszych, trzeci miał krewnych ubogich, co go żywili. W daleko szczęśliwszem położeniu była Maciejowa, jako rodem Krakowianka i mająca tu wiele krewnych. Przez długie lata służby choć może nie zebrała wiele grosza, ale ją ludzie, znając jej uczciwość i oszczędność, posądzali o to, że w węzełkach coś mieć musiała, familia więc dosyć chciwie się o nią ubiegała. Drugiego dnia już się w alkierzu u stolarza, stryjecznego brata swego, rozłożyła z dostatniemi ramenentami. Trzeba było trafu szczęśliwego, iż ją w ulicy z nabożeństwa powracającą spotkał Janek, który błądził bez celu.

— A ty chłopcze co robisz z sobą? — spytała gospodyni — cóż ty myślisz?...

— Myślę, że chyba Pan Bóg mi co nastręczy... bo ja sobie rady nie dam — rzekł Janek — nikogo nie znam i nic nie umiem. — Stara potakiwała głową.

Szkoda, żebyś się tak włócząc marnował — rzekła — jabym ci miejsce znalazła, ino ty się chcesz gwałtem uczyć... a tu trzeba na życie pracować...

Chłopiec zmilczał. — Na to nie ma innej rady, tylko służby szukać musisz... a ja ci bym ją może znalazła. Chodźno za mną.

Nieboszczyk ks. Hodowski mało co wina używał, czasem jednak pił po kieliszku starego, nie mogąc nigdy dojść jakim sposobem zaczęte przez niego butelki nadzwyczaj prędko wysychały.... Niekiedy zaznaczał na nich póki wypił, a nazajutrz znajdował, że drugie tyle wyparowało. Tak mu przynajmniej gospodyni dowodziła. Wino to brał tylko ks. Hodowski tam, gdzie był pewien, że znajdzie czyste i nie fabrykowane.... u Materskiego w rynku.... Materskiego piwnica w owych czasach najsławniejszą była w Krakowie, i kto się chciał zdrowego wina napić dla konkokcyi i pokrzepienia sił, szedł tylko pod zieloną wichę. Tak znak staroświecki, gałąź sosnową z drzewa wyrobioną, pomalowaną jaskrawo z szyszkami złotemi,

nosił od wieków handel win Materskich. Sam gospodarz, człeczek suchy, zły, krzykliwy, drapieżny, zajmował się wszystkiem, i zapewne za wiele na głowę wziąwszy, tak sobie żółć poburzył. Nie mógł sobie rady dać, a ludzie też z nim. Służbę przyjmował i wypędzał co kilka tygodni. Nie był może tak bardzo winien, bo mu się trafiali pomocnicy zawsze, którzy już chyba nigdzie indziej miejsca znaleźć nie mogli. Maciejowa wielce szanowała Materskiego i była też u niego w łaskach... Pomyślała zaraz, czyby tam Janka nie mogła umieścić. W chwili, gdy właśnie ów nieszczęśliwy gospodarz mszcząc się za jakąś szkodę na niewiernym posługaczu, bez czapki z pięściami zaciśnionemi leciał przez rynek kułakami ścigając zbiega.... Maciejowa stanęła przed nim....

Materski omał z razu jej nie dał, co miał przygotowanego dla uciekającego chłopca, w czas się jednak upamiętał. — Jezu Chryste, co się jegomości stało? — zawołała Maciejowa — co robisz? gdzie lecisz bez czapki?

Stary mówił, jak młyn pytluje prędko i ogniście.

— Trzysta tysięcy by go mordowało, psubrata tego, niegodziwca, Karolka.... gąsior jucha stłukł, garniec wina na półtora złotego.... Mam mu darować? nie! skórę złupię z niego, oczy mu łajdakowi wydrę.... nie przebaczę.... bo jucha winien.... Ryhotał zęby szczerzył, pod nogi nie patrzał.

— Ale dałbyś pokój; panie Materski, tak poważnemu obywatelowi gonić za chłopcem — — rzekła Maciejowa. — Dopiero się pomacał po łysinie i opatrzył czcigodny kupiec że pod Sukiennice wybiegł bez czapki... Zawrócił się zawstydzony mrucząc.

— Słuchaj pan, panie Materski — rzekła goniąc go Maciejowa — ja do jegomości szłam z prośbą; kanonikowi się zmarło... miał on wychowańca, chłopaka jakiego pod słońcem szukać i nie znaleźć... Biedactwo bez przytułku i roztropny... ja myślałam że go pan weźmiesz do handlu...

Kto? ja do handlu? szelmów tych, łotrów, urwiszów, uliczników będę brał — krzyknął Materski — żeby mi wino wypijali, tłukli, marnowali, wylewali... kradli. Niedoczekanie ich, małpy sobie sprowadzę, psy sobie powyuczam... djabłu duszę sprzedam, żeby mi nosił z piwnicy, a więcej żadnego nie wezmę.... nie wezmę....

— Cóż to jegomość bluźnisz! — zgorszona rzekła Maciejowa — nie ma widzę co z panem gadać..

Stary się pomiarkował. — Ale bo człek stracił przytomność... z gniewu...

— To właśnie pora kogoś porządnego wziąć do handlu.

— A tak porządnego! — zaśmiał się Materski. — A tak! Gdy to paskudztwo włazi pierwszy raz... to takie porządne, ciche, posłuszne, dobre, choć na nagniotek go przyłożyć, a niech no trochę się rozpatrzy po kątach... i na kagańcu go nie strzymasz... Trzykroć sto tysięcy...

— Dałbyś pan pokój, panie Materski... Zdaleka Maciejowa dała znak Jankowi, żeby się zbliżył; podszedł bez wielkiej ochoty... Materski mu wciąż w oczy patrzał...

— No, co to, to — rzekł — cherlawe... wyschłe nad elementarzem... to drzazga nie chłopiec! Czy chciałbyś do handlu? — zapytał...

— Nie koniecznie — odparł Janek — do handlu ochoty nie mam; uczyć się chcę... Ale przytułku nie mam, to bym służył dla chleba...

— A widziałeś, jakem tego nicponia, łotra pięściami gnał? — dodał kupiec — hę?

— Widziałem i dziwowałem się, że on uciekał i żeś go pan gonił...

— Dlaczego? — zapytał kupiec.

— Bo człowiekowi każdemu trafić się może pobłądzić, a pan tyle lat żyjąc na świecie wiesz pewnie, że młodemu łatwiej o to niż innym.

— A gdzie się ty filozofii uczył, chłopcze? — spytał Materski.

— W katechizmie — uśmiechając się rzekł Janek.

Kupiec oczyma rzucił i zamilkł.

— Co tam z tobą gadać, kiedy do handlu ochoty nie masz! — mruknął kupiec — Idź z Bogiem...

Janek się skłonił i zabierał uchodzić zwolna.

— Czekajże, czego ci pilno! tfu! a to znowu harda dusza w ubogiem ciele. Czekaj — krzyknął Materski. Pani Maciejowa cię rekomenduje mocno... no to... no to dam ci przytułek, póki sobie co innego nie znajdziesz... Uczciwy masz być, powierzę ci klucze...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TRZEJ WĘDROWCY,

CHRZESCIANIN, ŻYD I TUREK

—— CZYLI ——

KTO W BOGU POKŁADA ZAUFANIE, O TYM MA TENŻE OJCOWSKIE STARANIE

Powieść nader powabna i pouczająca.

—— PRZEZ ——

TOMASZA WIŚNIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Upupach odwieczny niechaj będzie zawsze z nami!

I całe zgromadzenie skłoniło się aż do ziemi.

Potem rozkazano towarzyszom przystąpić bliżej do tronu, i tak rzekł król do nich:

— Mówcie, co za powody macie, żeście przybyli tu na naszą wyspę?

— Panie miłościwy, — rzekł Ludwik, wystąpiwszy cokolwiek naprzód, — miej litość nad nami, oto okręt nasz rozbił się podczas wielkiej nawałnicy, tedy szukaliśmy ratunku na jednej łodzi. Byliśmy już pewni śmierci, bo wielki bałwan wzniósł się na morzu i zagarnął nas. I nie wiedzieliśmy, co się z nami stało, aż oto po ocuceniu się naszem spostrzegliśmy się osłabieni nad brzegiem okrutnego oceanu. Głód nam dokuczał mocno i poszliśmy w kraj. Spodziewaliśmy się, iż i na tej obcej ziemi znajdziemy ludzi, mających litość nad nieszczęśliwymi, którzy nam dadzą przytułek, dopóki nie znajdziemy sposobności do powrotu, albo do dalszej podróży. W tej to jedynie myśli przybyliśmy do twego wspaniałego miasta, wielki królu!

— A w jakimże celu odprawiacie podróż? — zapytał król.

— Jesteśmy z starych części ziemi, — odpowiedział Ludwik, — i jedziemy do Ameryki dla polepszenia naszego losu.

I rzekł król dalej:

— Niech każdy z was nazwie mi miejsce swego urodzenia i powie, czem się trudni.

Na to rzekł Ludwik:

Jestem z miasteczka Zamborst, leżącego nad rzeką Renem. Ojciec mój nauczył mnie ślósarstwa, który choć ubogi, ale poczciwy. Od rana do wieczora pracował przy swojem kowadle, nigdy zniechęcony, a zawsze wesoły.

— A ja, — odezwał się Jusuf żyd, — pochodzę z Knetwortu, położonego w Anglii. Gdym podrósł, oddał mnie ojciec mój w naukę do jednego posatkacza, który wedle sił i zdolności starał się o wydoskonalenie moje w temże rzemiośle.

— Ja zaś, wielki Panie, — mówił Zebit Turczyn, — urodziłem się w Szebas, mieście położonem w Azyi. Ojciec mój wychował mnie na kupca, i umiem tyle, ile koniecznie stan ten wymaga. Po ukończeniu nauk wysłał mnie ojciec na świat, abym poznał ludzi, życie ich, i obyczaje różnych narodów. W tym celu postanowiłem także odwiedzić kraje amerykańskie.

Król spojrzawszy ostro na podróżnych, rzekł:

— Oto jesteście na wyspie króla Ulina, który z całem swoim narodem wyznaje i czci Upupacha, jako najwyższą istotę, której my wszyscy poddani jesteśmy. Nie oddaliście mu powinnej czci i uszanowania, znieważyliście jego bozką istotę i zagniewaliście go na nas; taka zniewaga żąda satysfakcyi; wiedzcie iż to przekroczenie bywa karane śmiercią. — Pytam się tedy was, cóżbyście powiedzieli, chcąc się uniewinnić?

— Panie, — rzekł na to Ludwik, — zawsze powinniśmy szanować wasze obyczaje i ustawy religii waszej; lecz szczerze wyznajemy, iż nie wiemy nic o waszym Upupachu odwiecznym i najwyższym, zatem też nie wiemy nic o obrządkach ku czci i chwale jego. Miej przeto, o królu, litość nad niewiadomością naszą!

— Jak to, — rzekł król zdziwiony, — gdy

nie znacie Upupacha odwiecznego, i nie wiecie, jakim sposobem go czcić, w kogóż tedy wieżycie? Cóż sądzicie o człowieku i postanowieniu jego pod słońcem? I cóż z wami się stanie, gdy nogi wasze chodzić przestaną i dech przestanie ulatywać ustom waszym?

— Panie, — odpowiedział Ludwik, — gdy ciało moje umrze i stanie się popiołem, mam nadzieję obcować z Bogiem, a w widzeniu jego będę zażywał szczęścia, które nad wszystkie szczęścia ziemskie przekładam.

— Spodziewem się, Panie! — rzekł Jusuf żyd, — że gdy żyłem podług ustaw Jehowy i nauki proroków, przyjdę po śmierci do tronu Abrahama i wiecznie z ojcami moimi cieszyć się będę.

— Gdy się tu dni moje skończą, — rzekł Turek, — przeniosę się do raju, gdzie będę przypuszczon do wszystkich uciech i uroczystości, przez naszego proroka wielkiego nam przyobiecanych. Ałach i prorok jego niechaj będą z nami!

Odpowiedzi różne cudzoziemców zastanowiły króla niezmiernie, rzekł tedy do nich:

— Spostrzegam różnicę w mowie waszej. Radbym wiedział, co to ma znaczyć? Ty mówisz o Bogu, ty o Jehowie, a ty o Ałachu, a przecież Upupach odwieczny jedyną jest i najwyższą istotą na świecie. Zkądże te fałszywe podania. — U Upupacha naszego wiecznie żyć będziemy. Tam będzie bogaty bogatym, ubogi ubogim, pan panem, a niewolnik niewolnikiem. Taką jest wiara nasza.

— Królu litościwy, — odpowiedział Ludwik, — nie gniewaj się na nas, gdy się nauki nasze nie zgadzają z twemi. Na tamtej stronie oceanu żyje bardzo wiele narodów. Dochódź, a przekonasz się, iż religie ich na różnych opierają się zasadach; jedne narody wierzą tak, drugie inaczej.

Król milczał, dumał, i całe zgromadenie milczało. Nakoniec dał król znak ręką prawą i natychmiast wyprowadzono cudzoziemców do dawnego pokoju. Potem przyniesiono im różnych pokarmów i napojów. Towarzysze nasi, osłabieni na ciele, użytkowali z tejże gościnności, lubo ich myśl o przyszłość bardzo niepokoiła. Ale cóż mieli począć? Musieli się poddać losowi, który ich czekał.

ROZDZIAŁ SZOSTY.

Jedok mędrzec.

W wielkiem zadumaniu siedział król Ulin w jednym pokoju swego pałacu, i z niespokojnością ruszał się na krześle, właśnie, gdy kto o ważnych rozmyśla rzeczach, a zgłębić ich nie zdoła.

Po niedługim czasie przyszedł Jedok, człowiek mądry i światły, który zrobiwszy bardzo nizki ukłon, rzekł:

— Mój Pan i mój Król kazał mnie do siebie zawołać.

Król odpowiedział:

— Tak jest, kazałem cię zawołać, mój miły Jedoku; chcę, żebyś mi podał swą radę i żebym usłyszał zdanie z ust twoich; wiedz bowiem, iż ci cudzoziemcy przed chwilą wielką nabawili mnie niespokojnością.

— Jeden z nich powiedział, że prócz mojego narodu jest wiele innych, których religie na różnych opierają się zasadach; że nie znają Upupacha odwiecznego i nie wiedzą, jakim go sposobem czcić i chwalić należy. Ale widać przytem było, wtedy, gdy mi tenże cudzoziemiec powiadał, że szczerą i otwartą prawdę wyznał, bo też nawet ich ubiór i ich języki są bardzo odmienne.

— Powiedz mi teraz mój Jedoku, i objaśnij mi, czyli też to tak być może, i kto błądzi, czy ja, czy oni, boć jak jedna tylko prawda na świecie, tak też tylko jedna prawdziwa wiara być może.

Jedok mędrzec odpowiedział królowi następującemi słowy:

— Słońce i gwiazdy są od dawna, i będą, gdy nas nie będzie, i gdy żaden z naszych potomków nie będzie wiedział, którego pokolenia i imienia przodkowie ich byli. Wszystkie ciała niebieskie w wiecznym zostają porządku, a ten porządek nadała im istota, którą nazywamy Upupachem, bo tak jest powiedziano w księgach kapłańskich; prawdy te posiadamy od samego Upupacha. To utrzymujemy za nieomylną prawdę. Gdy narody tejże najwyższej istocie różne nadają nazwiska i sposób uczczenia jej inny jest od naszego, i w rozmaitych żyją nadziejach

wtedy należy dochodzić, z jakich źródeł czerpią swe religijne nauki. A jeżeli i ich wiara zasadza się na objawieniach wprost od najwyższej istoty, nie chcę, a nawet nie powinienem twierdzić, że ich podania są fałszywe. Dla czego taż odwieczna istota jednemu narodowi prędzej się objawiła, drugiemu poźniej, ktoż to zgruntować potrafi? Co się tyczy nazwy, jest to rzecz jasna, boć każdy język ma osobny dla tej istoty wyraz.

— Z tego, coś mi teraz powiedział, — rzekł król, — pojmuję, iż rozmaite na świecie mamy nauki, które co do istoty najwyższej na jedno się zgadzają; ale powiedz mi jeszcze, jakbym się mógł przekonać, która z tych nauk prawdziwa, która się zgadza z myślą tej najwyższej istoty, boć sam rozum powiada nam, że tylko jedna być może nieomylna nauka?

— Panie mój i królu mój, — odpowiedział mędrzec, — istota najwyższa udarowała człowieka rozumem, aby sam dochodził i wybierał.

— Ale na cóż dochodzić i wybierać, — mówił król, — kiedy od pierwszych lat moich wpojone mam nauki na cały ciąg życia mojego?

— Jeżeli się król mój i pan mój kontentuje tem, co mu inni wpoili, do czegoż się więc zapuszczać w podobne rozbiory i niepokoić ducha swojego? — odpowiedział Jedok.

— Mój dobry Jedoku, — odezwał się znowu król, — mów, czyli pozwala nauka Upupacha odwiecznego, abym tak świętych dochodził rzeczy?

— Czemu nie, — odpowiedział mędrzec, — wszakże na to ma człek siły sobie od natury dane, aby ich używał, a nie zaniedbał, bo ten, co je zaniedbuje, drwi sobie z istoty tak dobrotliwej, i nie wart wcale tych darów. Cóż to szkodzi istocie rzeczy, gdy dla naszego przekonania i prawdziwą naukę doświadczamy?

— Zrozumiałem cię, mój dobry Jedoku, — rzekł król Ulin, — ale co się tyczy tych cudzoziemców, osądź, czy zasłużyli na śmierć, lub nie, albowiem prawo wyraźnie nakazuje: kto Upupachowi odwiecznemu nie odda winnego mu uszanowania, karze śmierci podpada?

— Nie zasłużyli na śmierć, — odpowiedział mędrzec, — bo jakże można ich ukarać, gdy nie wiedzą, co znaczy Upupach, i nie znają obrządków ku czci jego. Ta niewiadomość zasługuje na przebaczenie, dobry panie i królu.

— Jeszcze ci jedno daję zapytanie, — mówił król, jakim sposobem możnaby się najlepiej przekonać, jak daleko ich nauki zgadzają się z naszemi?

— O tem można się łatwo przekonać, — odpowiedział mędrzec. Dozwól, niech ci cudzoziemcy działają w kraju według ich myśli i woli, a z uczynków ich przekonasz się, która nauka prawdziwa i czyli na dobrych lub złych zbudowana podstawach; boć wiemy oddawna, że jaka nauka, takie życie, a wreszcie cóż znaczy wiara bez dobrych uczynków?

— Dobrze, niech tak będzie, — rzekł król.

Rozkazał tedy król, aby przywiedziono cudzoziemców przed niego. Gdy przyszli, takiemi się do nich odezwał słowy:

— Sami wyznaliście, żeście Upupachowi odwiecznemu nie oddali powinnej czci i winnego mu uszanowania. Uniewinniając się powiadacie, iż nie znacie najwyższej istoty pod nazwiskiem Upupacha i nie znane wam są obrządki ku czci i chwale jego. Dla przekonania mego, czyli słowa wasze nie są próżne i płoche, i czyli w tem żadnego nie ma oszukańswa, daję wam sześć miesięcy czasu, i żądam od was, żebyście się po upłynieniu onych znowu przedemnie stawili i opowiedzieli mi, co najgodniejszego każdy z was zdziałał. Każdy z was ma wolny pobyt w państwie mojem, niech idzie, gdzie mu się podoba, i czyni wedle zasad religii swojej, gdyż idzie mi szczególniej i o to, abym wiedział, która nauka na dobrych, a która na złych opiera się fundamentach. Upoważniłem też urzędnika mego, ażeby wam wydał ze skarbu mego, ile wam tylko potrzeba będzie. Idźcie więc, i dopełnijcie rozkazu mego!

ROZDZIAŁ SIODMY.

Ludwik, Jusuf i Zebit przed królem.

Sześć miesięcy upłynęło, a wszystkie doniesienia o zachowaniu się trzech cudzoziemców zaspokajały króla we wszelkim względzie. Król był mocno ciekawy wiedzieć, który z ich uczynków będzie najgodniejszy, gdyż to miało stanowić lepszość zasad religijnych. Ludwik, Jusuf żyd i Zebit Turczyn stanęli przed królem, który temi do nich przemówił słowy, w przytomności całego dworu swego:

— Niechże usłyszę z ust waszych, jaki był najgodniejszy uczynek wasz, w przeciągu wyznaczonego wam czasu abym się przekonał, którą religię mogę uznać za prawdziwą, a którą nie!

Tedy wystąpił Zebit Turek, pokłonił się i rzekł.

— Królu i panie mój! czyż można z uczynków naszych sądzić o wyznaniach naszych? O jak często bywają uczynki i działalności ludzkie pod płaszczykiem rzetelności i prawdy w przeczności z zasadami wiary własnej! Inne jest często serce człowieka, a inne uczynki jego! Inne są często myśli od słów i uczynków. Któż potrafi odgadnąć powody, które nas do tego lub owego skłoniły uczynku? Jak wielu usiłuje być powierzchownie cnotliwymi, gdy tymczasem sumienie ich splugawione jest najbrzydszemi występkami.

Król na to:

— Słusznie powiedziałeś, iż ludzie mogą uchodzić za dobrych, i długo oszukiwać innych; ale mnie się zdaje, iż ponieważ życie ludzkie jest niby nieprzerwanym łańcuchem wszelakich czynności, nie jest też tak zbyt trudno przekonać się, jakiemi człowiek oddycha zasadami; wreszcie złość ludzka wychodzi za zwyczaj na wierzch. Trzymam się także i tej myśli, iż działania nasze wypływają z głosu prawa przemawiającego do nas: to jest dobre, a to jest złe. Zdarza się także często, iż jedni ściągają wszystkie czynności swoje do jakiej śmiertelnej, drudzy zaś do nieśmiertelnej, najwyższej istoty.

— Jeżeli tak panie mój i królu, dochódź publicznie spraw naszych, i przekonaj się, która wiara najlepsza, — rzekł Turczyn.

— Czemuż się ociągacie i nie opowiadacie, jakem zażądał? — zapytał król.

Wystąpił jeszcze krok naprzód Zebit Turek, i tak się dał słyszeć:

— Oto zdarzył się raz następujący wypadek. Nie byłby on nigdy doszedł uszu twoich, gdybyś nie był wezwał sługi twojego. To, com przytem uczynił, tkwić mi będzie zawsze w pamięci, bo liczę uczynek mój do najważniejszych i najgodniejszych w całem życiu mojem.

Król i całe zgromadzenie ciekawie nadstawiło ucha.

Zebit opowiadał:

— Z skarbu twojego, królu mój i panie, doszło mnie tyle bogactwa, żem się liczył do najzamożniejszych w całem twem królestwie. Byłem zawsze czynnym i pilnym w handlu, a Ałach był ze mną. Co raz większy stawał się mój majątek, większego szczęścia nie znałem na świecie. Jednego wieczora przechodziłem się po nad brzegiem morza. Nagle usłyszałem w blizkości rozmawiające osoby, nadstawiłem ucha, lecz o Nieba! cóż usłyszałem? Przeląkłem się, schroniłem się za drzewo, i nie przeszkodziłem rozmawiającym przybliżyć się. Noc była ciemna, nikt mnie nie widział. Osoby te myśląc że same, rozpoczęły następującą rozmowę:

— Już plan gotowy, — rzekł jeden, — nim rybak dwa razy sieć swoją na słońce rozwiesi, już żyć przestanie!

— Przestanie! — powtórzył drugi, — i panowanie jego się skończy; któżby zniósł takie poniżenie?

— Trzebaby być najpodlejszym człowiekiem, — rzekł pierwszy, — aby nie czuć obrazy, którą nam zadał. Stal moja już ostra. Jutro będę prosił o audyencyą, a gdy stanę przed królem, utkwię mu w sercu stal moją, i w obec całego dworu padnie na ziemię i wyzionie ducha. Mam prawo się zemścić dla pogardy której od niego doznałem.

Król Ulin zadrżał i całe zgromadzenie z nim.

— Tak jest, — mówił Turek dalej, — na życie twoje czyhali, panie mój i królu; w wielkiem znajdowałeś się niebezpieczeństwie.

— Oba spiskowi udali się znowu do miasta, ja pospieszałem o kilkanaście kroków za nimi. Widziałem, do których domów weszli i przekonałem się, iż ci niewierni należeli do najprzedniejszych mężów w twoim narodzie.

— Jakżem miał teraz sobie postąpić? Czy odkryć ci spisek? Nie, nie chciałem cię zasmucić, iż miałeś w blizkości twojej zdrajców i chytrych nieprzyjaciół. Chciałem sam bez wiedzy twojej oddalić niebezpieczeństwo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

WYŻYNKI NOCNE.

Było to już po nabożeństwie w kościele skurkowieckim, cała gromada wsi Sincic, wysypała się wielkiemi drzwiami, a że to był śliczny dzień jesienny, zatrzymała się pod rozłożystemi lipami ocieniającemi cmentarz.

Do parafialnego kościoła, schodzą się ludzie i z blizkich i z dalekich wiosek, a każdy prawie ma albo znajomego, albo przyjaciela na innej wsi osiadłego; nie widząc się cały tydzień, jest zawsze o czem pogadać, to o urodzajach, to o sprzętach, to o tem, to o owem, zwyczajnie jak to między sobą parafianie.

I teraz właśnie pomięszały się z sobą wioski, potworzyły się gromadki, starsi radzili zażywając tabakę i kiwając głowami, chłopaki żartowali z dziewkami, a ten i ów wybierał się już na jaki półkwaterek do karczmy; kiedy wtem, prawie już z pustych wielkich drzwi kościoła, wyszła kobieta prowadząc dwoje dzieci za ręce i nic nie mówiąc do nikogo, nie zatrzymując się ani jednej chwili na pogadankę, spiesznemi krokami przeszła około wieśniaków i wyszedłszy na drogę bitą, udała się ku Sincicom.

Kobieta ta była jeszcze młoda, ale tak blada, jakby dopiero z ciężkiej powstała choroby, a oczy jej były zaczerwienione od płaczu — odzienie jej podszarzane, pokazywało jednakże pewną staranność, a dwoje dzieci, które prowadziła przy sobie, czysto ubrane w sukienne sukmanki, w białe z czerwonemi tasiemkami koszule, dowodziły starania rodzicielskiego.

— Patrzajta no! Józewkowa przeszła, nawet się z nikim nie przywitała — rzekła jedna z kobiet, pokazując za odchodzącą.

— Ej dajcie jej tam pokój, moja kumo — odpowiedziała druga, — chudziaczka spieszy się do domu, boć to już podobno sześć tygodni jak jej chłop leży chory i nie wychodzi z chałupy.

— No juścić nie ma jej tego co przyganiać — odrzekła pierwsza — aleć by przecie mogła przywitać się ze znajomemi, a korona by jej z głowy nie spadła, ale to takie harne — że aż strach, że ona jest kołodziejczanka, to myśli że już ola Boga.

— Ej bajdurzycie, sami nie wiecie co — a boć to Józełkowa z harności to zrobiła, że się z nami nie przywitała? ale biedne kobiecisko ze zmartwienia, już od rozumu odchodzi, a widzieliście jak się przez całe nabożeństwo modliła i płakała, a teraz wyszedłszy spieszy do domu, boć tam jej chłopu nie ma kto i kapki wody podać.

— Ot gadanie, a przecieć mają dziewkę służebną.

— Bogać tam mają — kiedy już trzeci dzień, leży na tę samą chorobę co i gospodarz, jak ją tam nazywają we dworze?

— *Tyfus*, czy jakoś mi się zdaje, ale to biedni Józełkowie nie na żarty, choroba w takim czasie, kiedy największa robota, kiedy już wszyscy prawie posprzątali z pola, a u nich podobno mało co jeszcze i tknięte.

— Ot, gadanie, mało co tknięte — tam jeszcze u nich ani sierp nie był na zagonie; — wtrącił jeden z gospodarzy — ich ci tam wszystkie działki leżą przy moich, wszystko zboże na pniu oblata, że kiedy człek spojrzy to się żal robi.

— I chudziaczek widać nie ma za co najmować, boć przecież u nas ludzi nie brakuje, żeby zapłacić toby i pożęli.

— Bogać tam ma, jeżeli co było to się wypotrzebowało na chorobę, a niedawno miał i pogrzeb matki, to i to kosztowało nie mało.

Oparty o rozłożystą lipę, stał sołtys sincicki Antoni Staszkiewicz, nic nie mówiąc, przysłuchiwał się całej rozmowie — a był to chłop w sile wieku, sukmana na nim biała z czerwonemi klapami i wyszyciami, barania ze wstążkami czapa kipi mu na głowie na wszystkie strony; pas kowany Skotnickiej fabryki, opasuje mu biodra, na ogorzałej od słońca twarzy jego widać poczciwość od serca i ten rozum chłopski, przed którym na bok wszystkich mędrków rozumy, — długie czarne włosy spadają mu aż na ramiona, a w oczach jego błyszczało takie politowanie, kiedy słyszał rozmawiające kobiety, że zaraz byś go od serca po sto razy

uścisnął — gospodarze zaczęli go otaczać kołem i nie jeden go zapraszał na kieliszek wódki, ale Staszkiewicz oparty o lipę, stał jakiś markotny nie odzywając się ani słowa.

— I co wam to u licha, kumie Antoni Staszkiewicz!? — powiedział Stach Nowak, jeden z najzamożniejszych gospodarzy — że takieście nam odudzili, jakby zmokły wilk, ot chodźcie lepiej do Lewka, to wam te frasunki wywietrzeją z głowy.

— Ej komu radość to i radość, a kogo nieszczęście nawidzi, to go i gniecie kieby niedźwiedź w kliszczach, — odrzekł sołtys, ale się nie ruszył na krok od drzewa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OJCIEC KAPUCYN

—— CZYLI ——

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

W skutek wielkiej ztąd radości wezwano Edwarda do powrotu. Ubolewając nad losem swoim na wygnaniu, oczekiwał on z niecierpliwością pomyślnego obrotu usiłowań Archanioła, który mu, po wyjeździe posła hiszpańskiego z Londynu, o swoich zamiarach doniósł jak najdokładniej.

Wysłała więc Baronowa do Edwarda gońca, uwiadomiając go o wszystkiem co nastąpiło, i prosząc go, aby natychmiast powrócił i powszechną radość podzielał. Uradowany tem syn jej drugi, puścił się w drogę bez zwłoki i wkrótce ucałował ręce swojej matki.

Przywitała go ona z prawdziwem zachwyceniem. A jakżeż serdecznie ściskali się obydwaj bracie katolicy! Trudno to opisać! Tylko po doznaniu niewymownej radości można sobie podobne wyobrazić szczęście! Wzajemnie zapewniali się o swojem ztąd weselu. A nie zapomnieli i Bogu podziękować za dożycie tak szczęśliwej chwili.

— O niezgłębione wyroki nieba! — zawołał Archanioł. — Jakżeż cudownie opiekuje się Pan Bóg grzesznym śmiertelnikiem! Jakaż to zmiana w około! Dom smutku i narzekań nagle jest świątynią radości! Dawniej złorzeczyła matka swym synom, że przyjęli wiarę znienawidzoną, wyrzekła się ich i kazała im się tułać po świecie; a dzisiaj zamyka ich w swe objęcia, tuli swe dzieci do serca i obsypuje pocałunkami wygnańców!

Kalwiński tylko kaznodzieja patrzył na to wszystko niechętnie. Smutek opanował duszę jego. Złość, jaką w sobie ukrywał, chciała koniecznie wybuchnąć. Lecz jakże tu obrazić Baronowę, u której miał utrzymanie? Przestał więc tymczasem na uszczypliwem zapytaniu, czyby jej syn Grzegórz jeszcze był kapucynem.

Na to odpowiedziała Baronowa, że pod tym względem żadnej jeszcze nie ma pewności. Aby więc swą ciekawość zaspokoić, postanowiła Grzegorza zapytać. Wziąwszy mile syna

swego za rękę, poszła z nim do osobnego pokoju i przemówiła łagodnie w te słowa:

— Teraz, mój synu, kiedyśmy już z sobą bez wątpienia na zawsze pojednami, pomówisz ze mną bez ogródki. Powiedz więc otwarcie, jesteś jeszcze kapucynem?

— Jestem, kochana Matko!— odpowiedział Archanioł śmiałym głosem. — Pomimo ubioru świeckiego należę do zakonu!

— O synu! — westchnęła Baronowa, — jakżebym była szczęśliwa, gdybyś już wreszcie stanem tem wzgardził! I mam mocną nadzieję, że będziesz powolny moim życzeniom! Nie może być trudną dla Ciebie ta ofiara! Tymczasem proszę Cię, aby się nikt nie dowiedział, że pomimo złożenia grubej ze siebie siermięgi jeszcze mnichem jesteś. Koniecznie trzeba to taić. Co do nowej Twej wiary nie sprzeciwiam Ci się tak wielce lubo się przyznaję, iżby mi było przyjemnie, gdyby żadnej między nami nie było w wierze różnicy. Proszę Cię tylko, unikaj wszelkich ze mną rozmów o wierze. Jeźli bowiem Ty swojej nie myślisz zmienić, wówczas i ja mogę mieć do podobnej stałości prawo. Wiesz więc, czego od Ciebie wymagam, a spodziewam się, że mej spokojności nigdy już nie zakłócisz.

Przewidując Archanioł zamiar tak pięknie nastrojonych uwag, odpowiedział z zapałem:

— Bądź pewna, kochana Matko, już ja się będę starał pozyskać Twoje zadowolenie!

Byłoby lekkomyślnie z jego strony, gdyby chciał wolę Bozką uprzedzać.

Odtąd była Baronowa szczęśliwą. Nic już nie zaburzało spokoju w jej domu.

Tymczasem nie zapomniał Archanioł o obowiązkach swego stanu; owszem korzystał z każdej sposobności i wpajał w mieszkańców owej okolicy naukę Wiary katolickiej. Jakże się cieszył, widząc, że nie jednego we Wierze katolickiej oświecił! Powziąwszy o tem wiadomość księża Anglikańscy, oskarżyli go u dworu królewskiego.

— Przybył tu w nasze strony bezczelny apostół, — pisali, i odmawiając nasze owieczki od wiary oczyszczonej, przeciąga je różnymi sposobami do przesądów i zabobonów papiezkich. Śmie nawet uwalniać lud od przysięgi wierności, skoro jarzmo Rzymu przyjęli.

Kaznodzieja bawiący w Monomusko również się do podobnego oczernienia przyczynił. On to donosił wszystko Baronowej, co tylko w tym względzie usłyszał; nie omieszkał także zwrócić jej uwagi na wielkie niebezpieczeństwo, którem jej nieroztropność syna zagrażała.

Ta wiadomość zaczęła Baronową niepokoić. Dostrzegała ona często, że Grzegórz na zamku długo nie był obecnym, a ile razy go przy powrocie jego pytała, coby go do ciągłego wyjazdu z domu powodowało, odpowiedział jej, iż sobie poślubił, nikomu tego nie wyjawić.

Takie słowa zasmuciły Matkę; jednakowoż nie nastawała na odkrycie tej tajemnicy. Lecz dowiedziawszy się z ust kalwińskiego kaznodziei o przyczynie częstych Grzegorza wycieczek w okolicę, życzyła sobie pomówić w tej mierze z swym synem dokładnie.

Pewnego wieczora, gdy właśnie wrócił na zamek, kazała go przywołać do swego pokoju i rzekła z wyrazem pewnej nagany:

— Mój synu! Dowiedziałam się przypadkiem rzeczy, która mi bardzo niemiła. Doniesiono mi bowiem, że tu w tych okolicach na korzyść wiary katolickiej apostołujesz. Czyż Ci niewiadomo, na jakie niebezpieczeństwo siebie i mnie narażasz? Rozważyłeś, co Ci powinność dla mojej spokojności nakazuje? Jeźli mię prawdziwie kochasz, zaniechasz zapewno przedsięwzięcia, mogącego Cię nabawić nieprzyjemności i prześladowań. Wszak Cię zaklinałam, abyś prawdziwy swój stan ukrywał i przyrzekłeś mi być powolnym, a przecię nie dotrzymujesz słowa!

Sądząc Archanioł, że właśnie pora do pomówienia z matką o niepokonanych prawdach wiary katolickiej, i uprzykrzywszy już sobie milczeć ciągle o tak ważnym przedmiocie, odezwał się w te słowa:

— Kochana Matko, — rzekł, — muszę Ci koniecznie oświadczyć, że sobie za najświętszą poczytuję powinność, przemawiać za prawdą, o której, że od samego Boga pochodzi, zupełnie jestem przekonany. A jest moim obowiązkiem być gorliwym gdy o Wiarę Kościoła chodzi. Przełożeni włożyli na mnie rozkrzewianie wiary świętej, a przysiągłem im posłuszeństwo. Obawa, jaką w Ciebie wmówiono, nie odwiedzie mię od mego zamiaru. Za Boga ja się narażam, a Bóg mię i Ciebie zasłoni od złości naszych i oraz Twoich nieprzyjaciół!

Te słowa wzbudziły w Baronowej pewną

niespokojność. A że milczała, mówił Archaniół dalej:

Więc bojaźń przed ludźmi nie zdoła mię ustraszyć. Lecz o co się lękam, droga Matko, to właśnie o zbawienie duszy Twojej! Zakazałaś mi mówić o wierze, sądząc bez wątpienia, że użyję różnych podstępów, wybiegów i matactw dla oszukania Cię w tak ważnym przedmiocie. Ale Bogiem się świadczę, że taka nikczemność nigdy mi w myśli nie postała. Prawy chrześcianin nie potrzebuje się uciekać do podobnych niegodziwości. Za najszkaradniejszy poczytałbym sobie występek, gdybym na korzyść swej wiary użył dwuznacznych i podchwytnych wyrazów i śmiał Cię obałamucić. Wreszcie możesz się o tem najdokładniej przekonać, każąc swojemu kaznodziei, aby mi wytknął błędy mojej religii. Sama w ów czas osądzisz, kto z nas większą będzie miał słuszność!

Zastanowiwszy się nad tem nieco Baronowa i uważając za rzecz potrzebną zezwolić na ten jego pomysł, kazała przywałać kalwińskiego kaznodzieję, aby się w jej przytomności z Archaniołem o Wierze rozprawił dokładnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Cieszył się Archaniół z dozwolenia swej matki na rozmowę z kalwińskim kaznodzieją i oczekiwał go z niecierpliwością. Ten zaś nie mogąc przewidzieć przyczyny swojego przez Baronowę wezwania, gotował się do burzenia jej, strasząc ją tem wszystkiem, co jej ze strony rządu zagrażało, że niby z pewnem pobłażaniem na zakazane zabiegi Grzegorza patrzała.

— Już ich tu z kraju wypędzą tych nieproszonych u nas apostołów, a z nimi razem i wszystkich papieżników!

Wyrzekłszy te słowa, pospieszył do Baronowej. Lecz jakże się zatrwożył, ujrzawszy obok niej siedzącego Grzegorza. A tem bardziej przeląkł się biedny pastor, usłyszawszy z ust Pani swojej rozkaz do rozmowy z jej synem o wierze.

— Proszę mi zbijać, — rzekła, — wszystkie mylne zasady, której mój syn bronić zamyśla!

Te słowa pozbawiły kaznodzieję oniemal zupełnej przytomności umysłu. Dostrzegła to Baronowa z Grzegorzem. Lecz przytłumiając wewnętrzną swoją niespokojność i chcąc obawę swoją pokryć przybraniem śmiałości, przemówiła temi słowy:

— Wiadomo, że prawdziwa wiara żadnego nie potrzebuje obrońcy; ponieważ żaden poczciwy chrześcianin o jej nieomylności wątpić nie może.

A zaraz potem dodał:

— Wiem, Jaśnie Wielmożna Pani, żeś przekonana o zbawienności wiary swojej. Dla tego śmiem Panią przestrzedz, abyś od niej nie odstąpiła. Ten bowiem, który Panią niby chce oświecić, może jest właśnie przysłany od ducha wiecznej ciemności.

Nie dał się Archaniół tak uszczypliwemi rozdraźnić słowy; owszem łagodził uniesienie kaznodziei zwykłą sobie roztropnością. To właśnie rzuciło lepsze światło na zamiary Zakonnika i spowodowało Baronowę do ozwania się w te słowa:

— Jakże? Kaznodziejo! Czemuż Pan nie pełnisz mej woli? O, śmiało do walki! Może mi też Pan przy pomocy Bozkiej syna do wiary pierwotnej nawrócisz! Jeźli się to Kaznodziei uda, żądaj Kaznodziej co chcesz a wszystko poświęcę dla wynagrodzenia takowej przysługi.

Ośmielony tą obietnicą Kalwin, postanowił zbijać zasady nauki katolickiej.

Tu nastąpiła walka religijna. Bronił się Kaznodzieja, jak mógł; lecz już po trzykrotnej z sobą rozmowie pokonał Archaniół swego przeciwnika w obecności matki swojej.

— Mój Jegomość, — zawołała wreście Pani Torey, — wstydzić się muszę, żeś mię tak długo w błędach utrzymywał! Szukajże sobie teraz równie łatwowiernej, jaką ja dotychczas byłam. Nie ma już dla Wać Pana miejsca w moich włościach.

Nie mogąc Kaznodzieja już dłużej powściągnąć złości swojej, krzyknął namiętnie:

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA
STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

W dniu 18 lutego wydał prezydent proklamacyę w której ogłosił, iż pokój stale zawartym został. Korzyści z tej wojny dla Stanów Zjednoczonych były więcej moralnemi aniżeli materyalnemi. Koszta jej wynosiły 100 milionów dolarów; padło zaś 30,000 ludzi — straty angielskie były o wiele większemi. Amerykanie zabrali na morzu i na jeziorach 56 angielskich statków wojennych z 886 armatami i 2300 statków kupieckich z 800 armatami a utracili 25 okrętów wojennych i kilkanaście statków kupieckich.

Zaledwie minęła ta burza, powstała już znowu inna. Po wojnie z Anglią, nastąpiła krótka wojna z Algeryą.

Jak wiadomo musiały Stany Zjednoczone płacić Algeryi haracz. Zarządzca tego kraju mniemając, że wskutek wojny z Anglią, Stany Zjednoczone utraciły całą swą flotę, dozwolił swym rozbójnikom napadać na amerykańskie okręty kupieckie. Rząd Stan. Zjed. postanowił nie płacić dłużej haraczu i nadto wysłał w maju 1815 admirała Decatur z flotą na morze Śródziemne, aby upokorzyć Bey'a Algeryi. W dniu 17 czerwca napotkał Decatur flotę algierską i zabrawszy dwa okręty wraz z 600 ludźmi, popłynął z nimi do portu algierskiego i zażądał uwolnienia wszystkich jeńców, wynagrodzenia za szkodę kupcom amerykańskim, i zrzeczenia się wszelkich pretensyi do haraczu. Bey dowiedziawszy się o losie swych okrętów, podpisał traktat. Toż samo wymógł Decatur na baszy Tunisu i Tripolisu, którzy także się zgodzili na warunki podane przez admirała amerykańskiego. To stanowcze postępowanie zabezpieczyło handel amerykański i wyniosło Stany Zjednoczone w oczach Europy.

Madisona zarząd zbliżał się ku końcowi. W tym czasie nie stało się już nic ważnego wyjąwszy iż został ustanowiony bank Stanów Zjednoczonych z kapitałem dolarów 35,000,000 i Indiana została przyjęta do szeregu stanów (w grudniu 1816).

Nastąpiły wybory. Wybrani zostali kandydaci demokratyczni: James Monroe prezydentem i Daniel Tompkins wiceprezydentem.

ROZDZIAŁ V.

Administracya Monroe'a (1817 — 1825).

W dniu 8 marca 1817 został inaugurowany James Monroe prezydentem Stan. Zjed. Mowa jego umiarkowana przy objęciu zarządu, została z zadowoleniem przyjętą przez lud obecny, gdyż każdy myślał, iż weszła jutrzenka nowej ery dobrobytu narodowego. Gabinet swój wybrał z republikanów i żaden może prezydent nie miał tak dobrych doradzców jak właśnie Monroe.

Administracya jego odznaczyła się wielkim wzrostem materyalnym w kraju. Podczas wojny powstało w kraju wiele fabryk, gdyż Stan. Zjedn. nie mogły były dostać towarów z innych krajów, lecz z zawarciem pokoju, poczęto znów przywozić rozmaite produkty europejskie, wskutek czego nie jeden fabrykant amerykański został zmuszony do zawieszenia swego przemysłu i szukania innego zatrudnienia. Ta nibyto klęska była prawdziwem dobrodziejstwem dla kraju. Po za górami Allegeny były miliony akrów najżyżniejszej roli, ofiarującej pilnemu i skrzętnemu rolnikowi dobrobyt. Rozpoczęla się emigracya ze wschodu na zachód a jeszcze przed końcem administracyi Monroe'a powstały cztery nowe stany na zachodzie: Mississippi (1817), Illinois (1818), Alabama (1819) i Missouri (1821). W tym samym czasie uorgani-

zował się nowy stan na wschodzie to jest Maine (1820).

Zupełnie spokojnie nieprzeszła administracya Monroe'a. Banda złożona ze Seminolów i Crecksów do których się przyłączyli murzyni, którzy swym panom uciekli, niezadowolona z traktatu 1814 r., napadała na końcu roku 1817 na osady w terytoryach Georgia i Alabama. Kongres wysłał jen. Ganies, aby ten położył koniec buntom i wydalił Indyan z obszaru, który Creck's'y traktatem 1814 r. Stanom Zjednoczonym odstąpili, lecz obecność jego wywołała jeszcze większe wzburzenie nawet między innemi Indyanami podburzonymi przez Hiszpanów i Anglików. Ganies znajdował się w dość przykrem położeniu, lecz przybył mu na pomoc jen. Jackson na czele 1000 milicyi. Ten wkroczył w marcu 1818 r. do Florydy, zajął warownię St. Mare i uwięził dwóch głównych podburzycieli Indyan południowych Alexandra Arbuthnot i Roberta Ambrister. W dniu 20 kwietnia zastrzelono ich. Po wzięciu Pensacoli zdobył Jackson także warownię Baramas, w pobliżu powyższego miasta położoną a uwięziwszy gubernatora i cały zarząd hiszpański wysłał go do wyspy Cuby, do rodaków. Wynikiem tej wojny był traktat zawarty pomiędzy Hiszpanią i Stan. Zjed., na mocy którego Floryda z przyległemi wyspami stała się własnością Stanów Zjednoczonych (w lutym 1819.)

Terytoryum Louisiana zostało już poprzednio podzielone. Z jednej jego części, utworzono w roku 1812 stan Louisiana i terytoryum Missouri, z części tego terytoryum utworzono stan Alabama.

W tym czasie powstał spór o niewolnictwo a to z powodu przyjmowania do związku stanów, z których jedne były za niewolnictwem, drugie występowały przeciw niemu. Spodziewano się już wtenczas walki o tę kwestyę, która później wywołała wojnę bratobójczą, lecz załatwiono ją w dniu 28 lutego 1821 układem, na mocy którego wszystkie stany leżące na południe 36 stopnia i 30 minut północnej szerokości (południowa granica stanu Missouri) miały prawo utrzymywać niewolników, we wszystkich zaś stanach położonych na północ i zachód tej linii, było niewolnictwo zakazane. Po tym traktacie właśnie zostało Missouri włączone do Stanów Zjednoczonych. W ogóle należały już więc 24 stany do związku.

Sprawa niewolnictwa nie była jeszcze ukończoną, gdy już znowu nadszedł czas elekcyi, która się odbyła bardzo spokojnie, gdyż federaliści mało już mieli stronników. Monroe został powtórnie obrany (w listopadzie 1820 r.)

Trzeba to jeszcze nadmienić, że podczas pierwszego terminu Monroe'a, za jego staraniem zabezpieczył kongres los oficerów i żołnierzy z wojny rewolucyjnej, jako też wdów i sierot tychże. Drugą rzeczą ważną był traktat z Anglią, na mocy którego amerykańscy obywatele otrzymali prawo łowienia ryb nad wybrzeżem Fundlandyi; zarazem uregulowano granicę Stanów Zjednoczonych od jeziora Woods aż do gór Skalistych.

Oprócz szybkiego postępu kraju na drodze przedsiębiorstwa, nie wydarzyło się nic ważnego podczas reszty czasu zarządu Monroe'a, chyba że wspomniemy o zniesieniu rozbójnictwa morskiego w pobliżu wysp zachodnio indyjskich, w r. 1822 bowiem zniszczyła flota amerykańska 20 okrętów korsarskich, a resztę w roku następnym. W roku 1824 odwiedził Amerykę słynny Lafayette i bawił w niej 11 miesięcy, będąc wszędzie przyjmowany z wielkim entuzyazmem i zapałem.

Różne stronnictwa postawiły czterech kandydatów na urząd najwyższy Stanów Zjednoczonych. Wybory musiała rozstrzygnąć izba reprezentantów, która wybrała John'a Quincy Adams, wiceprezydentem został John C. Calhoun.

ROZDZIAŁ VI.

Administracya John'a Quincy Adams (1825—1829.)

John Quincy Adams był synem drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych John'a Adams'a. Polityczne jego zapatrywanie zgadzało się co do spraw zagranicznych i wewnętrznych z polityką poprzednika swego. Z powodu przyjaznych stósunków z mocarstwami ościennemi i pokoju wewnętrznego mógł zarząd kraju zajmować się zawieraniem kontraktów z Indyanami i przedsiębraniem środków zbawiennych dla rólnictwa, handlu i przemysłu. W tym czasie przesiedlono po za rzekę Mississippi Creck's'ów, którzy poczynali się cokolwiek cywilizować.

W roku 1825 ukończono najgłówniejsze dzieło do owego czasu w Stanach Zjednoczonych przedsięwzięte. Połączono bowiem rzekę Hudson z jeziorem Erie przez wybudowanie kanału Erie, 363 mile długiego.

Dziwny zbieg okoliczności wydarzył się w dniu 4 lipca 1826, 50 letnią rocznicę niepodległości amerykańskiej. John Adams i Thomas Jefferson bowiem umarli w tym dniu i prawie w tej samej godzinie. Obadwaj należeli do komisyi, która wypracowała deklaracyę niepodległości, obadwaj podpisali ją, obadwaj byli posłani za granicę, obadwaj byli wiceprezydentami i później prezydentami Stan. Zjed. i obadwaj doczekali się sędziwego wieku.

Podczas administracyi Adams'a przyjęto system obrony produkcyi kraju przez nakładanie wysokiego cła na przedmioty zagraniczne, co się stało podstawą tak nazwanego, *amerykańskiego sy-*

stemu, jak ją politycy nazywali. Fabrykanci w stanach północnych byli zadowoleni z tego systemu, lecz naprzeciw występowali południowcy, którzy bawełnę swą mogli sprzedawać w Angli. Z powodu tego powstały później pomiędzy następcami północy i południa znaczne spory.

Gdy umysly wskutek tej sprawy były rozdrażnione, nadszedł czas wyborów. Kandydatami byli: John Quincy Adams i jen. Andrew Jackson, który otrzymał większość głosów, wiceprezydentem został znów John C. Calhoun.

Prezydent Adams składający urząd w dniu 4 marca 1829 r. pozostawił kraj w stanie nadzwyczajnego dobrobytu narodowego, pokoju z całym światem, ze znacznie zmniejszonym długiem narodowym i pięciu milionami dolarów w skarbcu narodowym.

ROZDZIAŁ VII.

Administracya Jackson'a (1829—1833.)

Prezydent Jackson był namiętnym, lecz miał serce niezepsute i żelazną wolę. Obejmując ster, postanowił kierować okrętem państwa podług własnego pojmowania konstytucyi, nie zważając wcale na nieprzyjaciela i wroga. Instrukcya jego do posła w Anglii: "Żądajcie tylko rzeczy sprawiedliwej, lecz zarazem nie dajcie sobie wyrządzić niesprawiedliwości;" wskazuje, jakie były moralne i polityczne zasady jego. Odwaga jego zadziwiała przyjaciół, niepokoiła przeciwników. Dla tego też kochali go jedni, a drudzy nienawidzili. Obojętnych dla niego nie było wcale.

Jednym z przedmiotów najgłówniejszych dla interesu publicznego podczas jego administracyi był spór stanu Georgia z Charokees'ami, którzy tam jeszcze posiadali znaczne obszary. Jackson popierał pretensye stanu Georgia i biali chcieli zająć ziemię przez Indyan zamieszkaną, lecz trybunał najwyższy osądził inaczej (w marcu 1832.) Procesy i skargi ciągnęły się aż do r. 1838, kiedy wysłano jen. Winfield Scott'a na czele 1.000 milicyi, aby na drodze pokojowej, jeżeliby mógł, na gwałtownej, jeżeliby inaczej nie szło, zmusił Indyan do opuszczenia swej rezerwacyi. Scott zniewolił ich do dobrowolnej emigracyi po za rzekę Mississippi. Było to ciężkim ciosem dla Charokees'ów, którzy byli więcej ucywilizowani, jak inne plemiona i posiadali własne kościoły, szkoły, nową prasę drukarską i byli dobrymi rólnikami.

W wiośnie 1832 wybuchła wojna indyańska nad północno-zachodnią granicą. Niektóre plemiona mieszkające w dzisiejszym stanie Wisconsin urządziły w kwietniu 1832 pod naczelnictwem Czarnego Jastrzębia (Black Hawk) wyprawę przeciw osadnikom w Illinois. Po kilku bitwach z milicyą pod rozkazami jen. Atkinson stojącą zostali Indyanie przepędzeni przez rzekę Mississippi a Black Hawk uwięziony odbył przymusową podróż do Washingtonu. Krótka to walka jest znana w historyi jako „Black Hawk wojna."

Skoro burza ta minęła, ukazała się druga na południowym horyzoncie. Wspomnieliśmy już powyżej, że na towary zagraniczne położono wysokie cło; cło to zostało jeszcze bardziej podwyższone w r. 1832. Południowe stany nie były z tego zadowolone a zwłaszcza w południowej Carolinie poczęto się przygotowywać do wojny domowej, w celu oderwania tego stanu od Unii. Jackson wydał natenczas proklamacyę, w której oświadczył, że jeden pojedyńczy stan nie ma prawa wystąpić przeciw rozporządzeniom kongresu Stanów Zjednoczonych. Lecz to nie zaspokoiło rozjątrzonych umysłów. Dopiero gdy kongres uchwalił za wnioskiem Henryka Clay, że znienawidzone cło ma być w przeciągu dziesięciu lat stopniowo zniżone, nastał na niejakiś czas spokój pomiędzy północą i południem.

Za staraniem Jacksona postanowił kongres w roku 1833 znieść bank Stanów Zjednoczonych, gdyż „charter" jego się zakończył i dla tego wydobył z niego dol. 10,000,000, własność Stanów Zjednoczonych. Ten krok wywołał ogólne niezadowolenie i zastój w przemyśle i handlu. Gdy zaś pieniądze ulokowano w bankach pojedyńczych stanów, które je także wypożyczały, wróciło dawniejsze zaufanie.

Na południowej granicy wybuchły tymczasem nowe rozruchy. Na końcu r. 1835 poczęli Seminolowie pod naczelnikiem Osceola i „sachemem" Micanafy niepokoić osadników w Florydzie. Już w r. 1830 przeznaczono wielką rozerwacyę na zachód rzeki Mississippi dla plemion mieszkających na wschód tej rzeki. Przesiedlono nasamprzód Chiakasawów i Chostautów. Widzieliśmy już jakie niepokoje wybuchły, gdy chciano przesiediić Creeks'ów i Cherokeesów. Niektóre plemiona przesiedliły się, lecz inne opierały się temu. W r. 1834 wysłał prezydent jenerała Thompson do Florydy, aby w razie potrzeby z bronią w ręku Indyan do przesiedlenia przymusił. Osceola stawiał się jenerałowi tak zuchwale, że ten kazał go na jeden dzień okuć w kajdany. Duma naczelnika została obrażoną i dla tego postanowił się zemścić. Był on chytrym i odważnym zarazem. W grudniu 1835 począł napadać jedną i drugą osadę po kolei i mordował mieszkańców. W dniu 28 grudnia zniósł cały oddział milicyi amerykańskiej, z którego tylko czterech ludzi pozostało przy życiu. W kilku mniejszych potyczkach szkodził wojsku także i zamordował nawet jen. Thompson z kilku innymi oficerami.

(Dalszy ciąg nastąpi).